

Seans spełnionych marzeń

Teatr | Krystyna Janda brawurowo zagrała ekscentryczną damę, której brak talentu i głosu nie przeszkodził w karierze śpiewaczki

JANUSZ R. KOWALCZYK

Aktorka kreuje autentyczną postać Florence Foster Jenkins, która zdobyła spory rozgłos i uznanie wśród snobujących się amerykańskich elit. Z podziwu godnym samozaparciem i bez najmniejszej żenady wykonywała słynne arie operowe, a fałsz jej głosu fascynował tłumy, ale i sławy, m.in. Enrica Caruso i Cole'a Portera.

Trzy tysiące ludzi wysłuchało jej koncertu w Carnegie Hall w 1944 r. Miesiąc później zmarła, pozostając w pamięci wielu ludzi symbolem osoby prawdziwie wolnej – robiła to, co najbardziej lubiła, poświęcając na to cały czas i odziedziczony po ojcu niebagatelny majątek. Krytycznych reakcji na swój śpiew w ogóle nie przyjmowała do wiadomości, uznając, że są spowodowane zawiścią mniej uzdolnionych konkurentek. Śmiechy i histeryczne reakcje uznawała natomiast za przejaw spontanicznego odbioru swojego śpiewu.

Sztuka Petera Quiltera zaczyna się w momencie przyjęcia przez panią Florence Foster Jenkins nowego akompaniatora. Zostaje nim młody Cosmé McMoon (Maciej Stuhr). Jego poprzednika wyeliminowała przykra dolegliwość. Cierpiał mianowicie na... huraganowe gazy, które skutecznie zagłuszały występy.

Jak widać z powyższego przykładu, autor przeboju londyńskiego West Endu nie przebiera w środkach. Dowcip słowny czy sytuacyjny nie jest tu najwyższych lotów, wszelako wykonaniu nic nie można zarzucić. Jandzie i Stuhrowi towarzyszy grono znakomitych aktorów.

Przyjaciółkę i powiernicę gwiazdy gra Krystyna Tkacz, niespełnionego aktora kobotyna i pieczenia – Wiktor Zborowski, a wyrefinowaną melomankę protestującą przeciw profanacji sztuki – Ewa Telega. Dla kolorytu jest jeszcze temperamentna meksykańska służąca Maria (Anna Iberszer), posługująca się niezrozumiałym dla nikogo hiszpańskim.

Wszyscy ci wykonawcy giną jednak w cieniu głównej bohaterki. To na Krystynie Jandzie spoczywa cały ciężar przedstawienia.

Żeby być wiarygodną Florence Foster Jenkins, nie wystarczy ot, tak sobie, fałszować. Ten sposób interpretacji postaci szybko sprowadziłby rzecz do płaskiego wygłupu. Trzeba to uczynić w sposób, który wyda się widzom satysfakcjonujący i, nade wszystko, zabawny. To oczywiście wymaga mistrzostwa, w czym aktorka wydaje się niezastąpiona. Jej rozziewający chrapliwy dyszkanat pobudza do śmiechu całą widownię, co poniekąd tłumaczy fenomen popularności oryginalnej amerykańskiej pieśniarki.



♦ Nie najwyższych lotów dowcip „Boskiej!” ratuje perfekcyjna gra; na zdjęciu Krystyna Janda i Wiktor Zborowski

W tym przedstawieniu Krystyna Janda po raz kolejny spotkała się z reżyserem Andrzejem Domalikiem, u którego przed dziesięcioma laty zagrała w „Marii Callas. Lekcji śpiewu” Terrence’a McNally’ego w warszawskim Teatrze Powszechnym. Tam jednak największa primadonna XX wieku nie śpiewała, lecz jedynie uczyła przyszłych solistów. Natomiast teraz, w komedii

„Boska!”, Janda ukazała nie tyle portret zdziwaczalnej kobiety, której występy dawały słuchaczom okazję do szyderstw, ile marzycielki, pogodnie nastawionej do życia, skutecznie wprowadzającej w czyn swoje zamierzenia.

Udana „Boska!” to kolejny sukces aktorki budującej interesujący repertuar swego Teatru Polonia. I przykład spełnionych marzeń.

Jakkolwiek jest to teatr prywatny, a więc komercyjny, daje rozrywkę w najlepszym stylu wykonawczym. Niejednej państwowej scenie można by życzyć podobnego profesjonalizmu.

Peter Quilter „Boska!”, przekład Elżbieta Woźniak, reżyseria Andrzej Domalik, scenografia Dorota Kołodyńska, przygotowanie wokalne Aldona Krasucka, premiera polska 27 kwietnia 2007 r., Teatr Polonia, Warszawa